

1784

1767

Tectr

S. C.

R. C.

252

links

~~254~~

R. S. A. K. N.
W. N. E.





D-78/5058



BTLD 1767

R 1512

№ 1767

№ 852

Karimierz Tebajer.

„Sfinks”



Fantazya dramatyczna

w I akcie.

Państw. Teatr Śląski		
SYG.	1767.	
Katowice — BIBLIOTEKA		

Osoby.

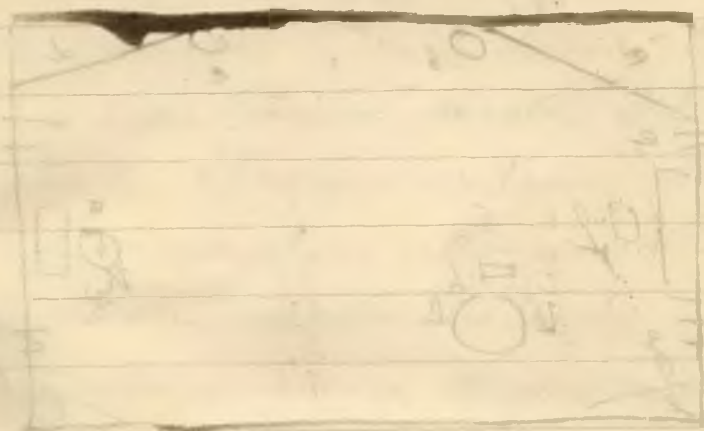
Matka - lat 42
Leon - - 19
Anna - - 18
Artur Weren - 26
Kniędz - - 60
Piotr - - 50

Przez dacień się za naszymi orszak.



Thema

reper



aktuelle

aktuelle

aktuelle

aktuelle

aktuelle

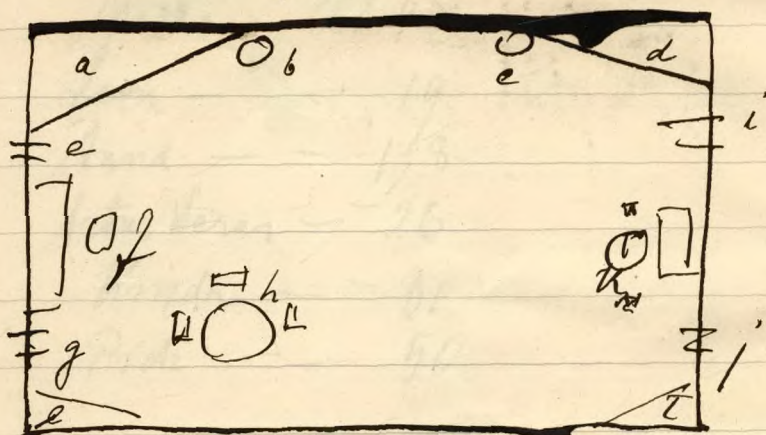
aktuelle

aktuelle

aktuelle

Scena

pejzaz



widzowie

a, b — Kwiaty

f — pianino i krzesło

~~rod~~ b, c — Kolumny z wazonami

h — Kasetka, stół, Krzesła,

k — stół, Krzesła, Kasetka,

e, g, i, j — drzwi

d, e, l — Kuchnia

Scena przedstawia werandę na I piętrze
z jednej strony zupełnie otwartą z marmu-
rową czarną balustradą. W rogu są dwóch
marmurowych czarnych kolumn z bronzo-
wymi wazonami, w których są kwitnące stor-
czyki, wale wazonów z oleandrami, tujami
kartusami i t. p. Pianino, koretki, stoliki, kre-
sta. Na stoliku bliższym widzów duża
lampa z przezroczystym zielonym kloszem.
Przy tym stoliku na koretkę siedzi matka
z czarnej sukni, z czarną koronką na głó-
wie, wielkie brylanty w uszach a na szyi ma
srebrny krzyżyk. Obok na krześle Anna
głowa oparta na ręce wspartej na stoliku,
łosy ciemnobłond, suknia biała, lekka, w
storach blade lilie u górze mały bukietik
borskich kwiatów, fioletowych dzwonków i błę-
kitnych goryszek. Widok z werandy na cie-
mne niebo, z księżycem zamglonym w
chmurach, a widać całe góry granitowe drżące

BIBLIOTEKA TEATRALNA

Własność Gminy m. Lwowa.

Anna (jakby do siebie)
 Dřiwnie ciemno i cicho... Suche lićcie
 sreleszora... Jaki księżyc mglisty...

(Daleki grmot z przeciągłym echem)

Matka.

Burza nadiąga. Powietrze parne i ciężkie,
 duszące.

Anna

Patrz mamko, jaki księżyc ma dziś dziwny
 zielono-otwiany połysk. Wygląda jak za-
 sniewzatego mosiądzu. Inny jest jak za-
 rwycraj.

Matka.

Nieraz bywa podobny przed burą. Nie wi-
 drę w nim nic nierwyńskiego.

Anna.

Owszem mamko, wpatrzyć się wóń dobrze,
 jest w nim coś nierwyńskiego. Ma jakis jak-
 by gorzki blask, i tyle smutku... (Pauza)

Jak cicho...

Matka.

Istotnie, bardzo jest cicho.

Anna.

W tej ciszy coś, co tworzy, prawdę.
Jest jakos' straszno...

Matka.

Upał przed burą rozstraja cię, myślenie gry-
wasz za wiele. Błada dris' jesteś. (Paura)

Anna.

Mamo, czy ty wierzysz w przesudzia?

Matka.

Jak czasem, ale nie trzeba do nich nigdy
przywierać zbytecznej wagi. Dlaczego
jednak pytasz się o to?

Anna

Ja niewiem mamo, co to jest? Ładuje mi
się ciągle, jakby coś złego stać się tu miało.

Matka

Boż nad nami.

Anna

Leżam się ciegoś, sama nie wiem czego? ... Złaził mi się jakby coś strasznego krążyło nad domem naszym...

Matka.

Złenerwowana jesteś, musisz wyjechać, odetchnąć i przede wszystkim masz jakiś nie grać. Stanaworo [cie to] roztają na więcej (Paura).

~~Dziś grałam~~ Anna

Dziś grałam długo o zmroku. Kwiaty bardzo pachniały i było bardzo cicho... Klawiszki same bormiały mi pod palcami. Jakiejś dziwne melodye zawisły mi nad głowami... (Daleki grzmot.)

Matka.

Nie mogę poznać, czy burza się zbliża, czy oddala?

Anna.

Zdawało mi się że mgła drwineków waha się nademną wisząca, kotysana moim od dechem. Było bardzo spokojnie... (Paura).

Potem stanęłam przy oknie. Księżyca
świecił się w jerozolimie pod oknami, jak
srebrny. Szklany dach cieplarni takwie,
jak srebrny, błyszczał w blaskach księ-
życa. Jak nagle zasummiaty brewa!

Matka.

Wicher się zrywa. Bąje się że młode aka-
cyje potalnie. Karatam odjąć pod spoy.

Anna

Nocny ptak jakiś frumiał koto oleandrow.
Tak samo o zwrótn latały ptaki nocne
w ciemnościach nad wodą, szybko i cicho, a
biorąc ~~miejsze~~ nieruchomą widocznie za-
ręcz martwą, przelatowały czasem tak
blisko, że omal nie uderzały skrzydłami o
kwiaty we włosach moich... Ogarnęło mnie
jakieś zamyślenie serne...

Matka (głasząc Annę po ławie).

Mamycielko ty moja.

Anna.

Nagle zdało mi się że jakas' dziwna muryka

wytania się z głuchych fal jeriora. W tej
muryce było coś nęcącego, jak życie, moc-
nego, jak śmierci. Outam, że amulewam, że
padam górieś w głąb... Widny mi był jas-
ny jakis, pełen słońca świat... słodka ja-
kas, cicha, senna tań... A z wód jeriora,
z głębi, brzmiała ciągle muryka dziwna, u-
pajająca... Zdawało mi się, że krążyła
kręgiem otacza mnie ton mgła, falująca.
Wtem ból strasliwie osty na wkrós
mnie przeszył, na wkrós przez serce...

Malka.

Szeregóhne manenie.

Anna.

Odknęłam się. Włosów moich dotykał
Leon palcami. Na twarz jego i na gipsową gło-
wę Dantego, co, wiesz mam, koło okna stoi,
padało światło księżycowe. Błada twarz Leona
i ta prosta głowa trupie miały białosć.
Zedjął mnie lek, ^{lek} tak wielki, że się ruszyć
nie śmiał, ani odetchnąć. Pierwszy raz

wydał mi się Leon tak strasznym. A stał długo przy mnie, i wciągał powietrze w usta na pół rozwarte. I stojąc tak wodził palcami po włosach moich i kwiatkach w nie wpiętych i wyjął mi lilie jedną, bardzo pachnącą.

Matka.

Piedny mój syn.

Anna.

Każ mamie wywieść z mego pokąja to popiersie Dantego. Straszna jakaś posępność jest w tej głowie, przed którą dusze zmarłych ciągnęły szeregiem.

Matka.

To pamiątka po twoim ojcu. Czy nie będzie ci żal?

Anna

Żal... (zamysła się, nagle nerwowo). Co to? Jakoby drzewa zadziwały w ogrodzie! Czy styszałas' mamie ten Dziwny Dzwon Dzwon? (Grmi z daleka). Czy to przed ude-

rzewiem piorunu taki dreszcz wstrząsa
drzewami?

Matka.

Przymiada ci się Dziecko. Nie było nic
stychać prócz gromot.

Anna.

Nie, nie. Najwyraźniej rozleś ciły uszy-
stkie liście w ogrodzie i chwał było sty-
chać gąłzi cichy i prerażający..

Matka (do siebie)

Biedne Dziecko.

Anna

Styrzę, co szepcesz mamie. W tej chwili
zdaje mi się, że mogłabym usłyszeć szelest
roślin podwodnych w jerozre, kotyszających
się z falą.... (Chwila milczenia)

Matka.

daleko chodiliście z Leonem?

Anna

Ku wieńcom za mostkiem.

Matka

Czy chcesz?

Anna.

Chcesz. Zebratam mu dwie bukiet pachnących kwiatów leśnych, co go widocznie bardzo cieszyło (chilzenie).

Matka.

Takas' ty blada, Anno.

Anna

Zmęczona jestem.

Matka.

Tędy palę się na chwilę.

Anna.

Dobre mamno. (Wstaje i idzie ku drzewom bliższym widów po lewej ich ręce. Uchyła drzwi, nagle cofa się i powraca na dawne miejsce). Nie, nie, tam jest ciemno, tam niema nikogo...

Matka (Zaniepokojona)

Co ci jest dziecko.

Anna.

Ogarnął mnie taki strach nieprajęty. Nie
odchoď mamó.

Matka.

Widzisz że nie odchoď. Nie ruszyłam się
z miejsca.

Anna.

Zdawałam mi się, że chcesz odejść...

Matka.

Albo co ci jest Anno?

Anna.

Ja niewiem, ja niewiem ad czasu do
czasu dzieje się w kotomnie coś dziwnego...
(Paura) W tej chwili wydaje mi się, jak
by powietrze składało się z blawek cien-
kich, jak łuska rybna, pośród których
przejżdża pociąg prościerny, banna
prędko. Słyszę janki jakieś przedkie, drga-
jące, migotliwe drwomienie Cył!

Matka.

Co?

Anna.

Drewno przeleciał znawce po drewnach
w agnacji. (Uderra piorun w znaw-
nej odległości).

Matka.

Probowe chyba wstąpi na noc, powra-
cając od Andrzeja. Bona nie ominię ~~z~~ rap
z pewnością. (Paura). Która to może być
godzina.

Anna.

Musi być koto dziesiątej.

Matka.

Czy Leon śpi?

Anna

Śpi w swoim pokoju, siedząc w fotelu.
Zaledwie zdolałam go odprowadzić z we-
randy od tych storczyków. Wachał je
długo i kilkakrotnie zdejmował warony.
Bałam się, że upuści. Tak ciężkie, że
ledwo ustawić je na powrót mogłam.
(Wzdryga się nagle).

Matka.

Fy drzyx? Co ci jest Anno?

Anna.

Ja nie wiem co to jest? Trwaga jakaś
spadła zdów na mnie niespodzianie.

Matka.

Z czego się lekasz?

Anna.

Mam uczucie, że coś złego krąży nad do-
mem naszym.

Matka.

Dziwiniśtro. Zenerwowana jesteś.

Anna.

Jednak ty wiesz mamo, że mam nieraz
prezencje rzeczy dziwnych...

(Z drzwi po lewej ręce widać, dalszy, wychodzi Piotr w ciemnej koberce, niosąc
na srebrnej tacy bilet wizytowy).

Piotr.

Pan jakiś przyjechał komu. (Podaje bi-
let na tace pani domu).

Malka.

(Biene bilet, cysta i kładzie go na stoł.)

Artur Weren.

Anna (żywo)

Weren?

Malka

Ory mówił co ten pan?

Piotr.

Mówił że zstąpił w puławy i pytał się
czy nie mógłby zanocewać w pałacu?

Malka

Prosi tego pana (Piotr wychodzi)

Anna.

Moje jarki krewny Ryszarda Weronia?

Malka (z namiętności)

Skądże nie on sam, prawda?

(Piotr wprowadza Artura. Artur ma
ciemne ubranie do konia, spodnie długie
buty per astrów.)

Artur.

Proszę panie wybaczyć, że o tak późnej

parze które im spronożosi. Złota dritem
w puszczu.

Katka

Zechciej pan przyjąć naszą gościnę.

Arthur.

Przerre wziętany panu jestem, npa-
tem bowiem z Koniem i niderytom się
dość mocno.

Katka

Nie niebezpiecznie jednak.²

Arthur

Nie, doznostka. Chodzić bym tylko nie
mógł swobodnie.

Katka

Proszę zechciej pan spróbować (Siadaja).
Niedługo podadzą nam herbatę.

Piotr (wchodzą).

Ksiądz proboszcz przyjechał (wychodzą)
Katka.

Wybawny pan. Nasz ~~ksiądz~~ proboszcz po-
wstał od chorego, o którego jestem nie-

spokojna (Wychodzi, za nią Anna)

Artur (Sam)

Ta niewierna biata jest, jak sen, jest,
jak cud... W tej jednak chwili los rmię
tu przywiodł, na kryjąć śmierci... (W tej
chwili z bocnych drzwi ~~na~~ po prawej kę-
se widzów, wysuwa się Leon w ciemnym
ptaszeniu, skórzanych pantoflach. Leon
jest blady mow ciemny miodzienny za-
rost powieki przymknięte. Trze powoli
i cicho kierując się widocznie za węchem
z wyciągniętymi przed siebie rękoma,
ku bliższej siebie kolumnie, szuka waro-
nu natrafia nań, zdejmując powoli i
węcha starczyk z widoczną roztoczą.
Artur zdumiany podnosi się z knesta.
Wchodzi Anna.)

Anna (podchodząc ku Leonowi).

Ło mój brat. (milczenie). Bóg wysłałko
mo sął: wzrok, słuch i głos.

Artur.

Cóż za okropne nieszczęście.

Anna.

Okropne nieszczęście. (Milkrenie).

Artur.

Ale jakim sposobem sam chodzić może?

Anna.

Zna rozkład tych kilku pokoi na pamięć,
a prymtem węch ma niezwykłe mocny.
(Odbiera łagodnie z rąk Leona waron mówiąc
do Artura). Proszę, niech pan pomoże mi
postawić ten waron na dawnym miejscu.
Jest bardzo ciężki. (Artur zbliża się, bierze
waron z rąk Anny, prymtem staje
tuż obok niej. Leon który widocznie swę-
chem poznaje zbliżenie się kogoś, i przy zbli-
żeniu Anny dawał oznaki zadowolenia,
przy zbliżeniu się Artura okazywał pewien
niepokój. Przekładając rękoma koto siebie,
natrafia na zbliżone ramiona Artura
i Anny, co go widocznie zastanawia.

Symonem Artur stawia waron na
kolumnie i oddala się nieco. Anna wyj-
muje jedną z lilii wpiętych we włosy i
wsadza ją w rękę Leonowi który przy-
ciąga ją ku sobie i obejmuje tą lewą
ręką, robiąc równocześnie prawą ruchy
jakkby chciał kogoś dosięgnąć i odepchnąć.
W tej chwili wchodzi matka i ksiądz, siwy,
nieco zgarbiony sympatyczny).

Matka.

Leon tu: ale jakki niespokojny! Oczem?

Anna

Widocznie zaniegrościła go obecność pana
Herena.

Matka.

Wyprowadź go i niech go rozbiora, jeśli
zechce.

(Ksiądz zapomaje się po cichu z Arturem
i rozmawia z nim widocznie o Leonie.
Anna prowadzi Leona ku drzwiom
z których wyszedł. Matka zbliża się ku

nim. Leon czując kryjeś zblizenie się, przy-
ciąga ku sobie Annę, druga ręka, wolna
czyniąc ruchy jak pierwszej, jakby chciał
kogoś objąć. Ponawia węchem ma-
tkę, daje pewien znak zadowolenia i pa-
je się Annę wyprowadzić. Anna wycho-
dzi razem z nim).

Matka (do Artura)

Mój syn jest kaleką, jak pan widać.
Panowie Zapornali się. (Księż i Artur
dają znak że już). Leon bywa od pewnego
czasu szczególnie niespokojny i wydaje
mi się, jakby był zadowolony o Annę. Kocha
Biedak po swojemu siostrę.

Księż (na stronie)

Doję się że to instynkty w nim się budzą
spóźnione. (Głównie). Trzeba na niego u-
wagać, a uświadomienie raczej poradzić się
lekarza).

Matka (Zaniepokojona)

Dużo radzi Księż proboszczowi, że to jakiś

abjawn choroby.²

Ksiądz

Przy takim organizmie nie wiedzieć na pewno nie można.

Anna (wraca)

Wsiadł spokojnie w fotelu. Bawi się lilią i zapewne zaśnie wkrótce.

Artur

Nie potrzeba go ciągle pilnować?

Matka

Nie. Treszka struiba zagląda często do jego pokoju, który jest odpowiednio مراقبony.

Anna (do Księdza)

Więc stworzeniu Andzejowi lepiej? Nie m-mne?

Ksiądz.

Chyba Bóg zechce, dziecko, chyba Bóg zechce.

Anna.

Bóg jest dobry. Ja się tak modliłam za niego za Andzejem.

ksiądz (z nimierhem)
 Muryka, jak zawsze?

Anna.

Ja nie umiem inaczej. Ale czyi Bóg
 nie słyszy każdej modlitwy?

Ksiądz.

Bóg słyszy każdą modlitwę. (Artem opie-
 ra się o siostrę)

Matka.

Demu parowie nie siowaje? Wiedę że pa-
 nu upadek z ^{koniem} ~~Koniu~~ dał się miero we znaki,
 panie Heren.

Artem.

Ślotnie ~~czyje go~~ ~~trochę~~ go czyje.

Ksiądz.

Znałem Rymarda Wercna. Pan mi go bar-
 dzo przypomina rysami i postawą.

Artem

On był mój ojciec.

Anna (cicho)

Mh!

Matka.

Jemu milej mi widzieć w sobie syna
tak wielkiego ortawieka.

Ksiądz.

Pan istotnie był to geniusz pierwszej wo-
dy. (wskazując na lunę). A to jednoraz naj-
zapalniejszy wielbiciel pańskiego ojca.
Gra chyba wszystkie jego utwory na pamięć.
(Śłychać dalekie gromy).

Arthur.

Co za wspaniałe echo.

Ana.

A teraz jak brzmie echo...

Arthur.

Takie dalekie gromy przepierne są na
oceanie.

Matka.

Pan podróżował wiele?

Arthur.

Na statku wojennym jako oficer.

Książę.

Ory nie na fregacie „Albatros”. Ładuje mi się
 ze cytatami panowie narwiszko między tymi,
 którzy najdalej dotarli podczas ostatniej wy-
 prawy ku południowemu biegunowi (Arthur
Ładuje potakujący znak głowy). Kłopoty to był
 hazard.

Arthur (z rismiechem).

Smierci patrzyła nam czasem prosto w oczy.

Książę.

Me zato cudowne rzeczy musielicie widzieć.

Arthur.

Nie do opisanie, Książę proboszczu. Kiedy
 stoisz przed nami, zdawało się że ocean
 purpury i płamien świat zalewa. Blask był
 oślepiający.

Anna.

A nace Książę co nie był równie piękny?

Arthur.

Inepyszne.

Kieck.

C do mnie Dawniej marylem nieraz o wscho-
die. Chciałem być w Ziemi Świętej....

Artur

Byłem i tam.

Anna.

Nie ^{wrochodnie} ~~na wschodzie~~ muszę być najpiękniej-
szę ze wszystkich?

Artur.

Niebo jest pro prostu zdalec od gwiard, po
liściach palm i kweów spływa strumienia
mi światło księżyca. Wron jest jakiś nieriem-
ski. Gdyśmy byli w tamtych stronach, lubi-
łem tożka płynąć wzdłuż wybrzeży. Świat
wydawał ~~mi~~ się wiryą rorówną.

Anna.

Gdybym tam kiedy być mogła... Szkoda,
że wiatr, moglibyśmy przepływać po jeziorze,
co tu aż pod płaszc podbiega, pełne kwia-
tów rębrega.

Matka.

W górach coraz ciemniej, musi tam być
ulewa. Zapewne wielkie wody spadną.

Ksiądz

Nie będzie jednak powodzi, chyba Bóg zechce.

Anna (do siebie)

Chciałabym stypres' Kiedy, jak szumia fale
morskie, Kiedy je księżyc od lądu odwołka..

Matka (do Artura)

Co za szczęście jednak, że pan nie wpadł w
tęślawiska, błądząc w puszczy w ciemnościach.

Artur.

Puregiliny traf sprawdził mnie na drodze
połtaci. Zechatem spokojnie, tylko na jakimś
mostku niebawem już stać. Kon' mój spi-
nać się zaczął i rucił. Ledwo zmusiłem go
do pniejścia. Polknął się tam i upadł wraz ze
mną.

Matka.

To zapewne ten mostek, dokąd chodzisz
tymczasem z Leonem na spacer?

Anna

Rozna tam wierby nad bagnem?

Artur.

Anna, o ile dojść mogłem.

Anna (nagle nerwowo)

ah!

Matka.

Co ci się stało, dziecko?

Anna (cicho do matki)

Wydato mi się znów, jakby drzewa zadłżały w agrodzie.

Matka.

Divne masz dziś przywidzenia. Trzysta wicher jest silny.

Anna (j. wt)

Onie, to nie wiatr... Ja wiem że to przywidzenie, ale tak przejmujące....

Księż (patrzy uważnie na Annę).

Nie trzeba się poddawać tym chorobliwym nerwom.

Anna.

One same kupnie i w niespodziewanie i
niewiem? Kąd?

Artur (do Anny)

Pani musiała mieć nieciernie wrażliwa?

Matka.

Isma nimora.

Artur (do Anny pokazując pianino).

Zapewne pani własność?

Anna

Task.

Ksiądz.

Ona przesłownie gra.

Artur.

Niewiem, dla czego, ale zdaje mi się, że pani
nie tylko z nut grać ~~musi~~ musi?

Anna.

Prasem, kiedy jest bardzo cicho i kiedy kwia-
ty bardzo pachną, gram co mi na myśl
przyjdzie....

Artur.

A właśnie teraz jest cicho, i kwiaty pachną.
Anna.

~~Artur~~ Nie, muszę być sama, sama jedna...
Księżka.

Czy rozwinięły się już te lilie, które ci przysłałem z mego ogrodu, dziecko?

Anna.

Już. Dziwnie są blade i pachną nadzwyczaj mocno. Takie są, ale takie blade i smutne.

Matka.

Lilia w ogóle nie jest wesołym kwiatem.

Anna.

Pachną tak mocno, że Leon przyszedł dziś do mego pokoju od ciebie, kiedyś wpięta ich kilka we wtorek.

Artur (patrząc na głowę Anny).

Czy to te?

Anna.

Tak. Patrzyłam na nie w ogień o zmroku. Pochyliły głowy ku ziemi, jak senne...

(Bliſki grunat z Blyskawicą)

Matka.

Burra nadiaga. Oby tylko nieszczęścia
jakiego nie było.

Książ.

Chyba Bóg zechce.

Matka

Arthur. (Odwracając się)

Anna (półgłosem, patrząc w niebo)

Jak tam straszno... Wydaje mi się jakby
coś z tego krążyło tam nad domem naszym...

Arthur.

Jaki gwałtowny wicher się zrywa.

(Blyskawica i grunat bardzo bliſki).

Matka.

Chryſte! To góriesz tu!

Książ.

Góriesz 'koło stołot.

Arthur.

Zobawam mi się jakby w Drzewo pionem
ustanęł.

Anna.

Jak wicher gwiszcie po szklarnym dachu
cieplarni...

Malwa.

Krabona buna uadenta.

Ksiądz (do Anny)

Chwata Baga, ieś pan zdołał się ochromić.

Anna.

Jak czarno w przestworach... (Wbiego Piotr)

Piotr.

Piorun uderzył w stare sropy. Pali się!

Malwa i Ksiądz (wzajemnie)

Pali się! (Wszyscy wstają).

Malwa.

Anna, idź mi odgrywkę, przędko... (Anna
wybiega do drzwi bliżej widka po prawej
stronie).

Ksiądz.

W stare sropy - to ani szkoda widka, ani
niema niebezpieczeństwa.

Matka.

Trzeba jeździć apasować agien; przy takim
wielkim mógłby się łatwo roznieść. Piotre,
zwołaj ludzi ze stajen (Piotr wychodzi, Anna
wraca z akrywką) Chodźmy księżę proboszcza.
Artur.

W której to stronie?

Matka (pokorując).

Fam.

Artur.

Książe wieje ze strony przeciwej, iskry nie
będą lecieć na pałac.

Matka.

Ty, stano zostań z Leonem. Chodźmy.

Anna (z gniewem)

Moim sanna zostać? (Artur robi parę
kroków z widocznym wysiłkiem).

Matka.

Janie Weren, pan nie może iść. Proszę za-
opiekować się Leonem wraz z Anną. (Hy-
drożka matka i książe).

Artur.

Zostanie, czyż się nie przydałbym się tam na
nic.

Anna.

Jak dobrze, że pan został. Sama jedna lęka.
Takym się bardzo. Shiriba musiała pobiec
do agnia. Patos jest prosty, głuchy... Zapię
do Leona. (wychodzi)

Artur (sam)

Ta dziewczyna jest, jak sę, jest, jak ciw...
Wysłuch^{to} da mi się manerem...

Anna (wracając)

Don i pi w łuku z kwiatem, który mi dał
na kolana. (Idzie ku balustradzie i siada na
poręczy pod marmurową kolumną, bliżej
drzwi, którym Leon wychodził, do drzwi tych
abrocona tytem. Artur zbliża się ku niej.)

Artur.

Al wadzenia zatem brat panu jest kaleką?

Anna.

Tak.

Artur.

Żywną tajemnicą musi być jego dusza.
 Anna.

Żywną tajemnicą i wielką. Najczęściej
 siedzi nieruchomo w fotelu godzinami i spi,
 lub kładzie się, że spi. A czasem staje tu na
 werandzie, wciąga w piersi wiatr chłodny,
 od gór wiejący, i długo tak stoi jak martwy.
 Czasem wyciąga przed siebie ramiona, jakby
 chciał lecieć gdzieś w przestrzeń...

Artur

Czy właściwy jest na co?

Anna.

Knyalko, co ma woi i co miłe w dołkniciu
 sprawia mu nielubną przyjemność. Kieroz
 prowadzą go w dół stromej w pole, kiedy
 skoszone siana pachną i słone grzeje i wi-
 dek, że mi jest wzięczny.

Artur.

Pani naprzeciw się nim zapinuje?

Anna.

Tak, ja. Siadujemy często dniami całymi na ławkach. Dzieci wiejskie, które wiedzą, że Leon lubi kwiaty, znoszą mu całe ich paki; a on bawi się nimi i głasze dzieci po twarzach i głowkach. Porzaje je do mnie ciem. Oni i ciem się do znajomych.

Artur.

Lagodny jest w ogóle?

Anna.

Teraz od jankiesów strach bywa rozdrażniony, ale zazwyczaj jest bardzo spokojny. Kilka razy zaledwie w życiu rozgniewał się; wtedy może być niebespieczny bo wpada w furię. To jednak prawie nigdy się nie zdarza i trwa krótko.

Artur.

Skłamał o jego wyprawie do zimy?

Anna.

On się musi do ludzi przyzwyczaić, a przytem nie lubi, kiedy kto blisko niego się znaj.

duje.

Artur.

Więc on myśli i Bóg wie jakie światy ma w duszy.

Anna.

Bóg wie jakie światy. (Wskazuje się Luna na niebie, zrazu niewidbła) Ah patrz pan: ptornienie!

Artur.

Ogień musiał dać ogarnąć. Luna na tem czarnem niebie przypomina mi pożar stołku kupieckiego, który ratowaliśmy w porcie.

Anna.

Tam niebyłes pan zapewne tak beczymym jak teraz mimowolnie?

Artur.

O, pracowaliśmy tam wszyscy, co się starczyło.

Anna.

Ocaliles pan Kowu życie?

Artur (z uśmiechem)

Tylko pan, po którego nikt iść nie chciał.

Anna

Wplamienie?

Artur (j. w. z pewną fantazją)

Łotwie, czerwono tam było od ognia.

(Anna podaje Arturowi rękę z wynownem
spojnieniem; Artur chce zerwać rękę
podnieść do ust potem waha się i puszcza
ją. Młotnienie).

Anna.

Góry majaczą w blasku. Wydają się tak
ogromne. Słyszysz pan? Krowie i bellii
mieszają.

Artur (nadśmukając)

Ma pani lepszy smutek ademie.

Anna.

Z drzew zrywają się sploszone ptaki noc-
ne; szeleszczą skrzydłami.

Artur.

Gatunki krasa nad domem (Ty chaci Dalek).

glas drwony) Co to?

Anna.

He wsi drwonią na drwogę. (ch do koń-
ca senny od czasu do czasu, nie często, sty-
chaj kicie drwony)

Artur.

Jaki pomysł ten drwon.

Anna.

Okrapnie pomysł. (Widzenie) Czy praw jestes
spokojszy?

Artur.

Zupełnie. Haasegoż miałbym się niepokoić?
Wszakże pożar nie grozi pałacowi, ani zabudo-
waniem dworskim?

Anna.

Tak, pożar nie grozi niczem... Ten drwon
jest okrapnie pomysł... (Widzenie)

Artur (chcąc widocznie adurować uwagę Anny).

Gdyby ojciec nasz był na ~~tem~~ miejscu miej-
scu w tej chwili, z pewnością mielibyśmy je-
nare jedno wspomniane rieto.

Anna.

Ojciec pana? To dziwnie jest tak, że los przy-
wiódł tu pana...

Artur (z uśmiechem)

Po śmierci, czy miękniecie?

Anna.

Śmierć jest tak mało na ziemi, tak dzi-
wnie mało... Jakby pan teraz podobny doją.
W pokoju moim nad fortepianem wisi por-
tret jego. Lubię się w niego wpatrywać. Ojciec
pana jest moim ideałem, (z uśmiechem)
moją pierwszą miłością...

Artur (serdecznie)

Może mnie obcy być panu przez to?

Anna.

Otak... (Chwała miłemu) Których gór
pan nie zna?

Artur

Od paru dni dopiero i po raz pierwszy
jestem w tych stronach (Chwała miłemu).

Anna.

Zawsze Anna jasnaja czerwona. A tam wglę
bi tak ciemno...

Artur.

Wiatr ustaje i okochwieć i wieziec zaryzna
pnebiwierać między chmurami.

(Chwila miłowania)

Anna.

Niewiem dlaczego przypomniała mi się teraz
jedno siche, lipcowe, niedzielne rano na wsi...
Liedriatoni w odnie, przed oknami były kłom.
by róż kwitnących i trawa bardzo zielona...
Małe ptaszki skakały po garanie i fruwały
kurio motyli. Niebo było bardzo jasne, czyste,
błękitne, pełne słońca... Pamiętam że dzień
coły potem był niewyjątkowo pogodny i miły...
(po cichu) To było dawno i niewiem czemu
teraz mi się marzy...

Artur.

Mysł ludzka krąży niespodziewanymi zwo-
ty, jak jaskółka nad wodą. Co to? Jakiś wy-

cie?

Anna.

Ogary musiały spaść na ogień. Ale jak za
nasze wyją.

Arthur.

Jakby śmierci zwietyły.

Anna (nerwowo).

Śmierci!... To strasne słowo... Że je
pan wy mówites'...

Arthur.

Chci wy mawia się je tak często....

Anna (j.w.).

Ło gaduiny, kiedy się słowa tego nie powinno
wymawiać...

Arthur.

Nie rozumiem pani? (z nienickiem) Wszakie
godzina duchów jeszcze nie nadenta.

Anna.

Czy pan wierz, co jest tu Koto nas?... Nie wiem
Laurego, ale w tej chwili nie trzeba było mó
wić tego słowa...

Artur (serjo)

Ależ panie Anno... pani tak zbladła...

Anna (jadłby do siebie)

W tym drewnie drzew co pnieciał teraz o-
grodem, i w tym jeżu drzewów słychać by
to to starne stowo... (daleki grzmot)

Artur (usiłując odwieść Anny uwagę)

Łapewne nieśłego powroci matka pani z
księżem proboszczem?

Anna.

Z księżem? Prawda, chciał jeździć odwiedzić
umierającego, ale tam śmierci nie zastał i tu
powrócił... (po chwili) Czy jesteś pan spokoj-
ny.

Artur.

Jestem spokojny.

Anna.

Łepetnie spokojny?

Artur

Łepetnie spokojny

Anna

I nigdzie nie wiem?

Artur

Wiem.

Anna.

Nie śmieję się pan ze mnie... jestem 'Kis'
tak ściwnie rostrójana... Względem jestem
bardzo nerwowa, a 'Kis' więcej niż kiedyś.
Kołwiek... Męczy mnie od paru godzin jakby
niejasne przerwania czegoś ztego... (pochwili)
Jak cicho teraz...

Artur.

Można by wstrząsnąć wtępnym oddechem...

Anna.

Chodzi mi się, że słyszę szuranie nóg
rozciągających się w puszczy, pobudzonych
tętna... (po chwili) Chłodno mi... (Artur poda-
je jej chustkę czerwoną, włóknową, prętykowaną
rebrnymi nitami przewierconą na progu cy-
ballustrady).

Artur.

Oto jaśkaś chustka, niech się pani odkryje. (pomaga jej zarucić na ramiona). Czy dobrze teraz? (ostatnie słowa mówi Artur nieco wstrząsnąwszy).

Anna.

Dobre, dziekuje. ~~patrz~~ (po chwili patrząc uważnie na Artura) Długo go pana tak zadziat?

Artur (zmięramy)

Kiedy?

Anna.

Przed chwilą, gdyś mi pan chustkę zarucić pomagał.

Artur (pryciszonym głosem)

Całkiem się tak blisko... (urwając nagle)
Nie, nie, zdawało się pani, mój głos wcale nie drżał, mówiłem, jak zwykle.

Anna.

Głos pana drżał... (patrząc uważnie na Artura)
Pan się lekko cęgał, tak jak ja, tylko

taisz przedemną, trwozę.

Artur (z namiętnością).

Rekiny byłyby zemnie oficer fregaty. I czegoś
miałbym się bać?

Anna (gorączkowo)

Czego? Ja nie wiem, ale tu jest coś takiego,
o pan musisz mieć, jak ja wiem...

Artur (z namiętnością)

Nerwy moje hartowały się podras orkanów
i nawet nie morskich.

Anna.

Żardosure ich panu... Ah! żeby ta noc
jui prenta... (po chwili wrac więcej go-
rączkowo). Strach spojrzeć w ten czarny
mroźny... Pan się nie lekasz, ^a czy pan
wiesz, czy pan możesz wiedzieć, co tu jest
w tej godzinie Noto nasz?... Ludzie mówią
że tu jest pusto, a tam (wskazując na niebo)
jest Bóg... A mnie się daje, że cały ten
czarny mroźny pełen jest czegoś niepoję-
tego, pełen jakiegoś grozy i smierci... (wy-

wa nagle)

Arthur (niespokojnie)

Co pani jest? Czemu pani tak nagle za-
milkła?

Anna (zmyślonym głosem)

Cyt! Tyrysz pan? ... Łąkam się spojrzeć...
Coś jakby słońce przez ogród niedotykając. Mru-
ganie kwiatów... Dława uchylała konary a
kwiaty gwałtownie się ku ziemi... Nawet stru-
mieniec ciekł sennie i wiatr ucieka... (pra-
wie szepcząc) Ha!...

Arthur

Panno tamo!

Anna (drząc)

Tyrysz pan? Tyrysz pan? ... Coś jakby
odlegato się z ciuchym szelestem po skłanym
wilgotnym dachu cieplarni... coraz bliżej
bliżej ku nam... i kile, to nad sity! (zasta-
wa. czy).

Arthur

Doprawdy nie wiem jak panią uspokoić?..

Anna.

Nie patrz pan, nie patrz pan! (w tej chwili we drzwiach staje Leon nie widziany przez Artura i Annę. Chwilkę dłużej dźwięk stoi a potem powoli po cichu proszwa się ku rozmawiającym zatrzymując się nierzad. Wskoczono jest że apłoch zapachu stoczyny kawy, kiernuje nim jeszcze coś, czego pojąć nie może a co go niepokoi). Tam w ciemnościach świecą wielkie, atragte, krwawo iskrujące o. cry... Boie!... (Anna stania się, prawie omdlewa, Artur podtrzymuje ją ramieniem) (Długie milczenie)

Anna (przychodząc do siebie)

Proś mię pan... (Artur cofa rękę, Anna opiera się plecami o kolumnę, chustka uśmiera się jej z ramion)

Artur (wzruszony)

Lepiej panu?

Anna (silać się na namiętność)

Lepiej
~~Lepiej~~

Prestranytam pana, prepranam.

Jestem tak dziecinna...

Antur.

Kiedy pani przejdzie stąd, to niewygodnie.

Anna.

No, nie mogłabym się ruszyć w tej chwili,
jestem zbyt oświecana... (po chwili)

Kiedy otwartam oczy i spojrzę na pana,
byłś pom. tak podobny do portretu ojca...

Był przede mną adżieria?

Antur (usiłując ukryć wzruszenie)

Łapewne --

Anna.

Donąd?

Antur.

Pójdę bliżej dalej po szerokim, gładkim
oceanie...

Anna.

Tam musi być smutno... O czym pan myśli
na tych wielkich wodach?

Antur.

Dotychczas myślałem o tem, com przeżył w życiu

i to mnie jeszcze spotkać kiedyś moje. A
teraz przybądźcie mi jeszcze jedno miejsce—
Anna.

Jakie?

Antur (nie mogąc pokryć wzruszenia)

Żegnajcie... (Milczenie)

Anna (wyjmując jedną lilie z wio-
sów i podaje ją Anturowi mówiąc).

Kiedyś kwiat ten przypominałam ci. Teraz
nie, kiedyś już będziesz daleko... Ale to
kwiat tak warty... (Antur zatrzymuje w dło-
ni rękę Anny i patrzy jej w oczy jakby za-
pytyjąc czy może ją pocałować. Anna mimo
woli sprunna się. Antur całując ją niesie to
w rękę).

Antur

Zachowam go do śmierci.

Anna (ze słabym nimmiechem)

Mój, czy swój? Także takie, jak ja, nie ży-
je długo... Kiedyś się pan Dawien o moją
mierć, grzesz na oceanie, nuci, pona, kwiat

ten do wody... (po chwili) Jestem dzie-
cinna, prawda?... Złaudes' pan...

Artur

Krew zbiegła mi do serca.

Anna.

Do serca... (po chwili) Cyt! Płuchaj pan.
Idą do ni się, jakby wielka fala jakaś,
stodko kiwicząca, rolowata się prawoko
wokoło, Krog za Kregiem, dalej, i dalej...
Płynię płynię ai gdzieś poślimy, odległy
skraj morka... I upaja mnie tak i zber
władnie... cęcać jest, jorfyć, a morna,
jad śmierć, ta żywna muryka... Czy sty-
sypa pan?

Artur (siłnie wzruszony)

Thnę stawa paui, a one są mi muryka co
naci, jak życie, a morna jest, jak śmierć...

Anna (stania się i mówi jakby w pół
śnie) Jestem teraz jak te lilie blade, co pad-
nemi oknami rosną, ważyte wśród wichrów

Artur.

Jestem przy tobie, pani.

Anna.

Jak te jaskółki jestem, które cicho leżą nad oceanem, a ląd daleko...

Artur (zbliżając się)

Jestem przy tobie, pani.

Anna.

Cyt.: Nie mów pan nic... Fala płynie i drwici i gra coraz mocniej, i ataca mnie cała, wrażliwa kregiem... Dziwna muryka. Coś jej myśl ma zająca... Stania się więcej, Artur obejmując ją lekko. Przypomina mi się znówu to niebo podobne i to rano stonowu... Kłaje mi się, jakby delikatne jaskółki mogły rozwiać się w powietrze, trochę drwiciące... Czy widzi pan?

Artur.

nie są tylko te parę, a tam mogły być one, to są myśli moje...

Anna.

Wmysłko zamienia się w błękit i w pień
Żiwny sen...

Artur. (namiętnie ~~szepcąc~~ ^{szepcąc})

Nie sen! nie sen! To miłość moja tak
mówi do ciebie, pani, to miłość moja
staura cię fala, żmijów i mgła z błę-
kitu...

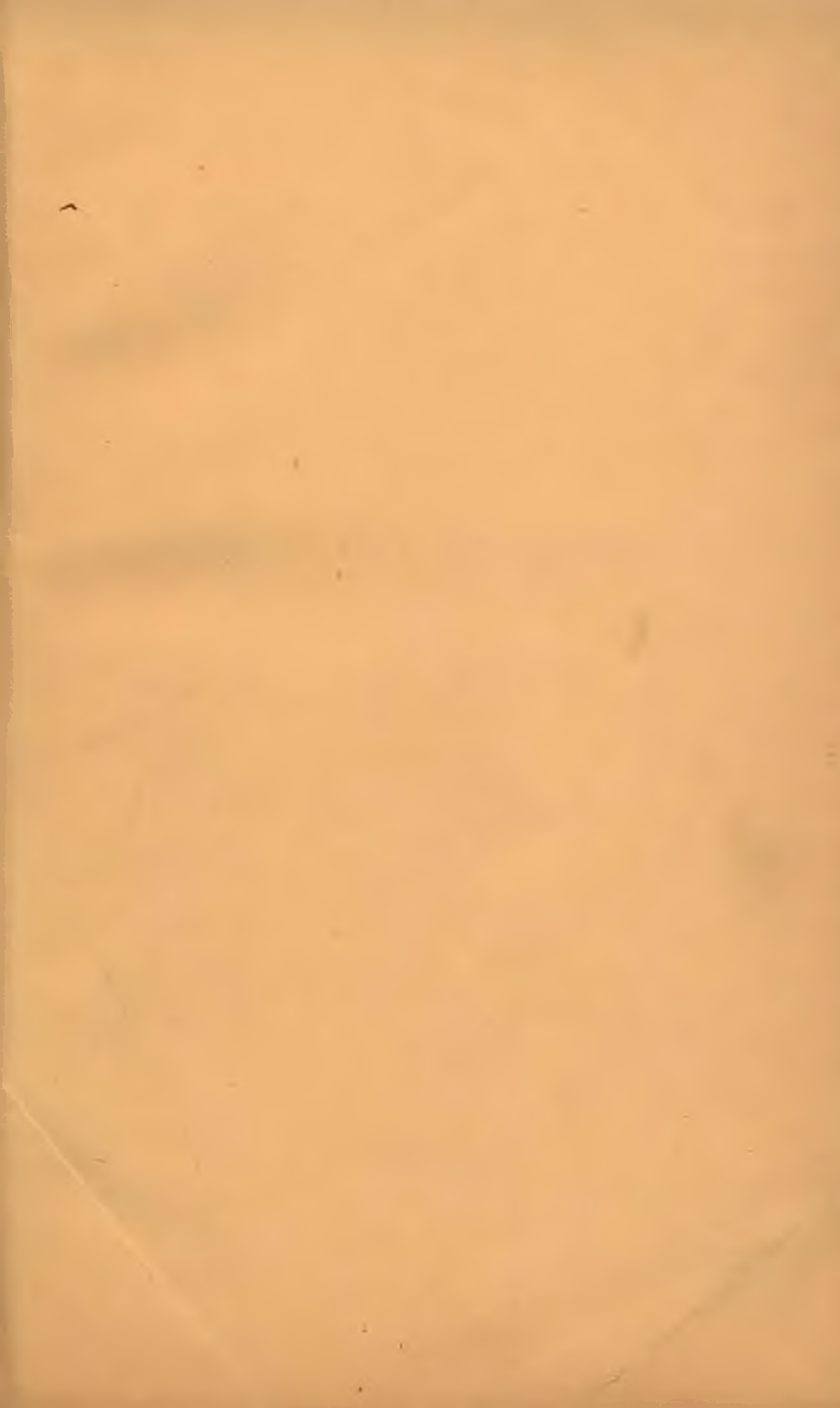
Anna (chyląc się nerwowo ku Leonowi)
Widzę mi jasny, jasny, pełen słońca świat...
Jakaś jakaś, słodka, ~~mała~~ ^{sema} ~~tor~~... (opada na
reze. Artura. Który cofa się nieco wtył
ku Leonowi. Leon tym czasem podsunął się
był już ku samej Walimwie, tak, że ziele-
go zaledwie krok od Artura i Anny. Nagle
Anna wyrzuca się z objęć Artura wsta-
jąc z prestrachem) Ah! Dnawa zadziaty!
Dnawa dżi!... (W tej chwili Leon natrapia
wyciągniętymi rękami na głowę Artura
i Anny. Który przerwani odwracają się
tyłko. Na twarzy Leona widocznie ma

bryje się wściekłość. Chwyta Antura je-
 dną ręką i przyciąga ku sobie, a dru-
 gą porywa waron z kolumny i uderza
 nim Antura w głowę. Antur z jękiem na-
 pada na ziemię, Leon ciężko dysząc o-
 piera się plecami o kolumnę widoczną
 wypilony. Anna która dotąd stała jak
 utępiała, postępuje ku Anturawi, wda-
 wa się gwałtownie i przystawiając ocy-
 kany (merawi): Trup! S! S! S!...

BIBLIOTEKA TEATRALNA

Własność Gminy m. Lwowa.





k. I, 53

28.03.2005

km

